



„Klątwa. Odcinki z czasu beznadziei. E01: Don't mess with Jesus” - RECENZJE

Klątwa epizod 1: Nie zadzieraj z Mesjaszem

W pierwszym odcinku teatralnego serialu są masowe zgony polityków, tajemny plan Jezusa i znakomite aktorstwo. Duet Strzępka- Demirski nie zaskakuje niczym nowym, ale też nie odkrywa wszystkich kart.

Jedyny poseł ocalały z "katastrofy" (Radomir Rospondek)/fot. Łukasz Badula - próba spektaklu Przez ulicę Wiejską przeszła potężna trąba powietrzna. Zasysając obradujących w Sejmie posłów i przenosząc ich ciała w bliżej nieokreślone miejsce. Już po fakcie, na miejsce przybyły wozy transmisyjne telewizji. Pokazując pogorzelnisko parlamentu i unoszący się dym. Internauci szybko dostrzegli w nim sylwetkę Franka Underwooda. Choć niektórzy byli przekonani, że to nie postać z "House of Cards", ale Jezus Chrystus bez brody. Jedyne katolickie radio w kraju wezwało do publicznych modłów za ojczyznę. Na ulicę wyjechały czołgi, a "pożyczone" od USA myśliwce odbyły serię kontrolnych lotów nad krajem. Aby Putinowi Ściana Wschodnia nie pomyliła się z Krymem. Hipermarkety zamknęły swoje podwoje w obawie przed plądrowaniem półek. Kościoły przeciwnie - otwały bramy na oścież, stając się schronieniem dla nagle nawróconych obywateli. Zamknięto granice. Ogłoszono żałobę narodową. Odwołano "Taniec z gwiazdami".

To wszystko zdarzyło się w jeden piątkowy wieczór. Gdy z wysoką gorączką leżałem w łóżku, nie mogąc uczestniczyć w premierze teatralnej "Klątwy". O tym, czy spektakl przebił moje majaki, przyszło zweryfikować dopiero dzień później. Z gorączką, ale i sporym bagażem oczekiwań. Teatralną koprodukcję Łazni Nowej i Teatru IMKA cechuje przecież niesamowicie nośny punkt

wyjścia. Polska bez polityków, za to z wiarą w czary i gusła. Cenzurka wystawiona władzy, ale też krzywe zwierciadło społecznych mechanizmów. Spekulatywna publicystyka w ujęciu najbardziej gniewnego z teatralnych duetów.

Z tym gniewem nie ma co przesadzać. Monika Strzępka i Piotr Demirski od dawna nie są już zakalcem w mainstreamowym cieście. Nie jątrzą tak bardzo, bo też inna jest ich teatralna pozycja. Gdy realizowali pierwsze projekty, jawili się rodzajem dramaturgicznej partyzantki. Przeprowadzając dywersję w najbardziej newralgicznych miejscach teatralnego życia. Nie tylko odbrażawali i przedrzeźniali, lecz konsekwentnie upominali się o dramaturgię zaangażowaną, wojowniczą, nonkomformistyczną. Dla jednych była to heroiczna walka, dla drugich - tylko lewacka utopia. Od tamtego czasu, sytuacja duetu uległa jednak daleko idącej przemianie. Poznań, Chorzów, Wrocław, Warszawa, Kraków - ich bunt jest rozchwytywany, transferowany na kolejne sceny, z różnymi zespołami aktorskimi. Strzępka trafia na okładkę "Wysokich Obcasów", a Demirski - jako ekspert do studia TVN 24.

Jeśli wspominał o ekspansji duetu, to bynajmniej nie dla wytykania niekonsekwencji. Strzępka i Demirski nigdy przecież nie składali ślubów wierności przed żadną antysystemową Międzynarodówką. Kto zaś pamięta tyradę z teatralnego remiksu Dario Fo, wie, jak cierpko potrafia mówić np. o środowisku "Krytyki Politycznej". Problem leży gdzie indziej. Przy obecnej nadreprezentacji dokonań duetu, radykalizm jego poczynań wydaje się mocno ograniczony. Kiedyś Strzępka z Demirskim wybornie parodiowali Warlikowskiego. Dzisiaj łatwo wyobrazić sobie parodię ich spektaklu. Wywrotowa treść stała się kolejną teatralną marką, dramaturgicznym sznytem, określoną medialnie strategią.

Wybierając się sobotnim wieczorem do Nowej Huty, żywiłem zatem pewne obawy co do wymowy "Kłątwy". Zwłaszcza pamiętając przeprawę z "Bitwą warszawską 1920", którą duet wystawił na deskach Starego Teatru. Tamten spektakl był przegadany, uginający się od historycznych retorsji, przewidywalny w scenicznych grepsach. A jednak duet nie poległ w nim do końca, nie skapitulował przed trudnym tematem, zachował jakąś część twórczego fermentu. Stąd i nadzieja, że przy okazji kolejnej współpracy z Łażnią Nową (po "W imię Jakuba S."), w najgorszym wypadku będzie... swojsko. Człowiek da na siebie nakrzycheć, trochę się pośmieje, podpisze jakąś petycję i odetchnie z ulgą, że jeszcze mu daleko do kreatur lub ofiar systemu ukazywanych w sztuce. Taka mała eksterytorialna wspólnota. Cenne doświadczenie niezależnie od tego, czy jest się jej członkiem czy zakładnikiem.

O wspólnotowym charakterze "Kłątwy" świadczyły już tłumy koczujące przed spektaklem w korytarzach Łażni Nowej. Wśród gromadnie przybyłej publiczności, udało mi się wyłowić m.in. profesora Hartmana (który zapewne chciał wiedzieć, czy Demirski nie przeklina przypadkiem Twojego Ruchu). Duży rozrzut pokoleniowy i modowy. Szum wokół "Kłątwy" niewątpliwie zadziałał. Teraz wypadało czekać, aż zaszumi na scenie.

Zaszumiło. Nie tylko w głowie, ale i na scenie. Co prawda, ten, kto spodziewał się u Strzępki i Demirskiego resetu twardego dysku, musiał przeżyć rozczarowanie. To wszystko gdzieś już było. Te nagłe wejścia i wyjścia przez drzwi, pyskówki w pierwszej osobie a'la "jakim to jestem świnią, ale mam swoje powody", osoby publiczne jako obiekty kabareciarskiego linczu czy covery szlagierów służące za przerywniki.

"Kłątwa" nie jest zatem formalną innowacją. Reżyserująca Strzępka i piszący tekst Demirski nie wylecieli nagle na Księżyc. Nie stworzyli na scenie żadnej apokapityczno- mistycznej wizji. Serial

mający ukazywać renesans czarów i magii, na razie mocno trzyma się konkretów. Będąc kpina w równym stopniu z klasy rządzącej, co społeczeństwa tą klasę karmiącego. Z mesjanistycznym wątkiem w tle.

Nagle uśmiercenie wszystkich posłów posiada w serialu rzeczywiście mesjanistyczne podłoże. Groteskowa anihilacja władzy poprzedza bowiem powtórne przyjście Jezusa. To Chrystus rodem z gnostyckich apokryfów. Rozgniewany, bezlitosny, mściwy. Co zrobiliście z moim Kościołem?! - wydziera się na posoborową Polskę. Potrafi splunąć na dziennikarkę, która zgubiła różaniec, a tym, którzy są nieposłuszni - fundować bolesny wgląd w piekielne czeluście. Podaje nawet przybliżoną datę śmierci każdego z widzów (ja na wszelki wypadek wyłączyłem komórkę i... niech tak zostanie). Tytuł pierwszego odcinka "Don't Mess With Jesus" mówi zresztą sam za siebie. Takiemu Mesjaszowi lepiej nie podskakiwać.

Poza sferą wymuszonego rachunku sumienia, w "Kłątwie" są oczywiście i bardzo ludzkie postaci. "Jedyny lewicowy poseł" w Sejmie zostaje "jedynym ocalałym z rzezi". Co społeczeństwo ma mu za złe (Wstyd, że przeżyłem - lka). Ostatni Mohikanin władzy ustawodawczej szybko traci pewność siebie. Bo jak tu trzymać fason, gdy nie ma kogo krytykować, a BOR nie zapewnia ochrony? Drugim istotnym protagonistą serialu jest starzejący się dziennikarz - alkoholik. Do niedawna tropił afery i wygrywał procesy o zniesławienie z prezydentem. Teraz w najbardziej medialnym momencie dziejowym, traci pracę. Bo Chrystus wyznaczył mu inne zadanie. Wśród bohaterów pojawia się jeszcze potomek rodu kamieniczników, który odzyskuje stracone po wojnie budynki. Na zasadzie drogocennej kolekcji. Zamierza wysiedlić wszystkich tych, którzy nie pozwalają mu czuć się bezpiecznie w mieście.

Otoczka political- fiction pozwala Demirskiemu na większą niż zazwyczaj dozę absurdu. Wraz z rozwojem akcji, dochodzi więc do komicznych opętań. Wspomniany redaktor budzi się w ciele prezydenta. Tylko po to, by zobaczyć, jak żona zdradza go z głową państwa. Dziennikarz i prezydent muszą teraz dzielić cielesną powłokę. Również podczas transmisji przemówienia do narodu. Ale nie tylko prezydent pada ofiarą wędrówki dusz. Dziennikarka telewizyjna nagle przemawia głosem zmarłej poseł Pawłowicz. Domagając się przeniesienia swoich zwłok do zamrażarki. Najwyraźniej zamierza jeszcze do nich wrócić. Albo przynajmniej zaglądnąć.

Wątek poseł Pawłowicz wzbudził na widowni zdrowy rechot. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, iż to typowe zagranie pod publiczność. Tak jak przytaczane na scenie okoliczności śmierci innych parlamentarzystów (m.in. Hoffmana znalezionej nago pod agencją towarzyską). Demirski egzorcyzmuje polską politykę oraz dopisuje kompromitujące nekrologi jej głównym aktorom. Po prawej i lewej stronie. To jednak chyba za mało, by wyjść poza powierzchowną drwinę. Poseł Pawłowicz pozostaje tylko nazwiskiem przyklejonym do rzucającego "kurwami" ducha w ciele dziennikarki.

Jeszcze przed premierą "Kłątwy", zwracano uwagę na analogie z katastrofą smoleńską. Na szczęście pierwszy odcinek serialu nie rozgrywa się we mgle nad lotniskiem w Siewiernym. Demirski darował sobie bezpośrednie skojarzenia z teoriami spiskowymi, tudzież hagiografizacją ofiar katastrofy. Poza pojedynczymi podobieństwami (m.in. mobilizacja serwisów informacyjnych, kwestia wypływających zdjęć zwłok), Smoleńsk i "Kłątwa" to dwa różne pola zbiorowej podświadomości. U Demirskiego katastrofa to "work in progress". Nie zewnętrzny zamach, lecz dziejowa sprawiedliwość dokonywana na bieżąco boską ręką. Z umierającymi ciągiem politykami (gdy tylko zechce im się startować w wyborach). Paraliż władzy, który najpierw budzi w

społeczeństwie dziką satysfakcją, potem panikę, wreszcie trwogę. To kraina, w której nie ma mowy o "śmierci elit", gdyż elitarny jest tylko immunitet poselski.

Spreparowana przez Demirskiego szopka na przemian bawi i przeraża. W czym już zasługa nadzorującej przebieg całości Strzępki. Pani reżyser, jak zawsze, czujnie segmentuje tekst i daje pole do popisów aktorom. Aktorom, którzy spisują się, co tu owijać w bawełnę, fenomenalnie. To dzięki nim karykaturalne postaci zyskują realną tożsamość. Zamiast pogardy, budzą jeśli nie zrozumienie, to na pewno współczucie.

Rewelacyjny jest Krzysztof Dracz w podwójnej roli wspomnianego dziennikarza i prezydenta. Sponiewierany, zgorzkniały, ale też cyniczny do granic śmieszności. Zabawna jest Klara Bielawska, zarówno podczas stawiania tarota, jak i matczynej asysty przy Jezusie. Właśnie, Jezus. Dobromir Dymecki jako Mesjasz po prostu zagarnia dla siebie przestrzeń. Mierzący chyba z 3 metry aktor za nic ma sezon grypowy. Paraduje po scenie półnago, zabijając wzrokiem i wygrażając publiczności. Charyzma młodego aktora sprawia, iż sceniczny Jezus budzi głęboki respekt. Nawet, gdy odstawia Electric Boogie. Muzykalnością wykazuje się również reszta obsady. Paweł Tomaszewski (kamienicznik) w przejmujący sposób śpiewa akustyczną wersję "Space Oddity" Bowiego (tekst idealnie oddający sytuację bohaterów sztuki). Z kolei Alona Szostak ni stąd ni zowąd serwuje godną operowej diwy pieśń. Z taką aktorską ekipą można nie tylko uśmiercać parlamentarzystów, ale też tańczyć na ich grobach. Co w symboliczny sposób dzieje się w sztuce. Przy podtapianej wodą scenografii.

Dokonując oceny "Klątwy" wypada wstrzymać się z ostatecznym wyrokiem. Przedsięwzięcie zostało zaplanowane na cztery, długie odcinki. Wszystko, co Demirski ujawnił w pierwszym epizodzie, może więc ulec drastycznej zmianie. Dwie i pół godziny "Don't Mess With Jesus" to ledwie antrakt, rozpoznanie sytuacji, branie rozbiegu. Mimo typowej dla duetu struktury spektaklu, "Klątwa" może jeszcze czymś zaskoczyć. Być może politycy wrócą do żywych? Polska stanie się autentycznym królestwem nie z tej Ziemi? Lucyfer utworzy rząd na uchodźstwie? A może skacowany dziennikarz obudzi się w łóżku i powie do żony: "Nie uwierzysz, co mi się śniło"?

Co do mnie, po długim powrocie tramwajem z Łaźni Nowej, spałem niespokojnie. Śnili mi się Dymecki tańczący "Deszczową piosenkę" i dyktujący numery Lotto, Dracz eliminujący Franka Underwooda z reklamy kredytów, a także poseł Pawłowicz razem z Demirskim promująca kolekcjonerskie wydanie DVD "Klątwy". Gorączka spadła. Ale napięcie rośnie.

Ciąg dalszy nastąpi...

Łukasz Badula
Kulturaonline

Klątwa Strzępki i Demirskiego

W Teatrze Łaźnia Nowa odbyła się premiera najnowszego spektaklu niepokornego duetu Monika Strzępka Strzępka - Paweł Demirski. "Don't mess with Jesus" to pierwszy z czterech odcinków serialu teatralnego pt. "Klątwa, czyli odcinki z czasu beznadziei".

Zaczyna się jak rasowy serial polityczny, potem fikcja zdecydowanie bierze górę nad rzeczywistością. Ale duet Strzepka-Demirski nie rezygnuje z ulubionej przez siebie konwencji, gdzie otaczająca nas rzeczywistość przeobraża się w szalony, dziki i beczelny kabaret.

Zgodnie z zapowiedziami na początku mamy coś w rodzaju hekatomb w polskim parlamencie. Hekatomby wielokrotnej, bo znacznie powyżej setki: w niewyjaśnionych okolicznościach ginie ponad 450 polskich posłów. Skojarzenia z tragedią smoleńską mogą się pojawić, ale tylko na moment. Autorzy robią wszystko by ominąć kluczowe słowo "samolot", i uśmiercają posłów w sposób wielce groteskowy, ale nie kojarzący się z wydarzeniami pod Smoleńskiem. Na ulicach Warszawy pojawiają się manifestacje, ale zamiast rozpacz i gniewu, jest radość - polski parlament nie cieszył się miłością ludu, na transparentach najczęstszym słowem jest krótkie "Nareszcie!". Tyle związków z rzeczywistością i historią najnowszą.

Próby wyjaśnienia tych nieprawdopodobnych przypadków podejmuje się dziarska dziennikarka z telewizji, na której wizerunek złożą się się, ukazane rzecz jasna w krzywym zwierciadle, dziesiątki postaci dziarskich reporterek znanych z tv: przykutych do telefonu czy tabletu, zmanierowanych i sztucznie podekscytowanych. Galerię postaci realistycznych domykają: jedyny ocalały poseł, miernota bez właściwości, kolejna miernota, dziennikarz i błyskotliwy zazwyczaj komentator, oraz jego żona. A także prezydent RP, odklejony od rzeczywistości facet, który ucieka za granicę tzn. do Rumunii. Będzie też ksiądz, zakonnica, wyzuci z majątków arystokracji oraz wiceszefowa BORu czy UOPu.

No i Jezus, bardzo gniewny i raczej nie miłosierny, który ponownie przybywa na ten świat, by ogłosić początek Apokalipsy. W jednej scenie towarzyszy mu Matka Boska, która przemawia do garstki ocalonych językiem infantylnej siostry katechetki.

Autorzy "Kłątwy" celują tym razem w elity polityczne, media i Kościół, bezwzględność uprzywilejowanych, bezmyślność "dobrze urządzonych", a także, może najbardziej, w naszą złudną nadzieję i wiarę, że ten przynależny nam "najlepszy ze światów" ma jeszcze jakiś sens i cel. Nic z tego, koniec czasów jest bliski.

Na scenie obficie leje się krew. W przeciwieństwie do drastycznych wydarzeń, o których głównie się tu opowiada, krew naprawdę płynie potokiem. Między innymi dlatego, że pragnący odzyskać majątki arystokracji, przygotowujący skrycie "sabat dobrych rodzin", są krwiopicami, czyli wampirami. Dobry serial oczywiście nie może obejść się bez wampirów. Kolejny warunek udanego telewizyjnego show? Naturalnie żywe trupy. To jedna z najbardziej udanych scen "Kłątwy" - ukatrupiona w hekatombie posłanka Pawłowicz przejmuje ciało dziarskiej reporterki telewizyjnej i staje się naprawdę malowniczym zombie. Racjonalne podstawy świata, o którym uczono nas w szkole załamują się. Bohaterowie wszędzie widzą tajemne znaki, zaglądając do kart, oczekują spełnienia się przepowiedni.

Nie ukrywam, że jestem fanką teatru Moniki Strzepki i Pawła Demirskiego i dobrze się czuję w absurdalnej atmosferze ich przedstawień. Teatru zbudowanego na kontrastach i przesadzie, teatru modelowo niepoprawnego politycznie, sięgającego po niskie gatunki, rokendrolowego, beczelnie nadużywającego nadmiaru i nadekspresji. A do tego otwarcie moralizującego, czasem równie subtelnie jak ksiądz na wielkopostnym kazaniu. Z tym, że z nieco innej zazwyczaj, bardziej lewostronnej perspektywy.

Pouczono mnie, żeby nigdy nie wyrokować o jakości serialu na podstawie pierwszego odcinka. Ale w przypadku serialu Strzepki i Demirskiego każdy odcinek jest także zamkniętą teatralną całością. Pierwszy odcinek intryguje, choć może za bardzo koncentruje się na wyłożeniu programowych tez, które wyznaczają reguły i obszary przedstawionego świata. Za wiele publicystyki i pouczenia,

trochę za mało akcji. Ale chyba chcemy wiedzieć co będzie dalej? Czy naprawdę przeżył tylko jeden poseł, czy posłanka Pawłowicz odzyska zamrożone w lodówce ciało? A co z prezydentem, który zrządzeniem losu dzieli ciało z krytykującym go wcześniej dziennikarzem? Czy odzyskiwane przez żądnych krwi arystokratów kamienice naprawdę ułożą się tajemny znak? A może to nie arystokraci, tylko żydzi? Kolejny odcinek w Łażni Nowej już wkrótce.

Justyna Nowicka
www.radiokrakow.pl

Wyobraź sobie, że nagle w niewyjaśnionych okolicznościach giną wszyscy politycy Sejmu Polskiego. Czy usiadłbyś wygodnie na kanapie przed telewizorem, poprzedzając to wyjściem do sklepu po wódkę, i czekał na rozwój akcji? Czy jednak pobiegłbyś po znicze, a następnie czuwał przed parlamentem z poczuciem braku tożsamości i bezpieczeństwa? Jestem pewna, że większość skorzystałaby z pierwszej opcji, a w ich gronie znaleźliby się Monika Strzępka oraz Paweł Demirski – twórcy politycznego serialu teatralnego „Klątwa, odcinki z czasu beznadziei”.

W pierwszym odcinku o nazwie „Don't mess with Jesus” od samego początku w widzach wywoływane są skrajne emocje za sprawą balansowania na granicy horroru i komedii, które wprowadzają w nastrój całego przedsięwzięcia. Rozlewowi krwi nieodłącznie towarzyszyło poczucie humoru. Wszystko to wywołane po śmierci wszystkich posłów, aby postawić Polaków przed obowiązkiem nowego ustanowienia władzy, sprawdzenia ich, a może nawet jest to rodzajem okazji odkupienia za grzechy, gdyż siłą sprawczą tego chaosu jest Jezus Chrystus (Dobromir Dymecki), który zstąpił na ziemię jednak już nie tak bardzo miłosierny i wyrozumiały. Bardziej gotowy do rozliczenia wiernych-niewiernych z dotychczasowego postępowania.

Natomiast euforia po utracie elity szybko upada, a społeczeństwo musi podjąć jakieś konkretne działania wobec przyszłości. Do owego społeczeństwa należą m.in. Żyd wykupujący wszystkie kamienice w Warszawie (Paweł Tomaszewski), redaktor (Krzysztof Dracz), jego żona (Alona Szostak), prezenterka telewizyjna (Anna Kłos-Kleszczewska) oraz postać polityczna (Radomir Rospondek). Bezradnie zaczynają wierzyć wiedźmie (Klara Bielawka), ponieważ w przepowiedniach próbują odnaleźć jakiegokolwiek wyjaśnienia, wskazówki i nieco pocieszenia, pozytywnych prognoz na dalsze lata życia, którego mają jeszcze drugie tyle przed sobą. Wtedy z pomocą wkracza Jezus zaprowadzając nowy porządek.

Według mnie, sam pomysł połączenia serialu oraz spektaklu w jedno jest świetnym rozwiązaniem, a autorzy zasługują na gromkie oklaski. Powód? Pierwsza koncepcja ma to do siebie, że wciąga odbiorcę w życie bohaterów, zaciekawia, aż ten automatycznie czeka na następny odcinek aby zaspokoić swoją ciekawość, a druga stanowi sztukę wyższą, która posiada w sobie głębię, wartość, naukę. Sprawia to, że przeciętny widz może zarówno obcować z czymś patetycznym, ale na znanym mu gruncie. Chociaż widowisko trwało stosunkowo długo – bo sto czterdzieści minut – to osobiście tego nie odczuwałam. Fantastyczna gra aktorska i intrygujący scenariusz to na prawdę obiecujące połączenie. A ja już, nie mogę doczekać się kolejnego odcinka.

Spektakl powstał dzięki współpracy warszawskiego Teatru IMKA oraz krakowskiego Teatru Łażnia Nowa. Premiery zaś czteroodcinkowego teatralnego serialu, będą odbywać się co miesiąc od czerwca. Swoją recenzję pozwolę sobie podsumować, że przyjdzie na tę sztukę jest to „doznanie tak silne, że prawie płciowe”.

Jezus albo anarchia

Kiedy pierwszy raz usłyszałem, że Strzępka i Demirski planują w Łażni Nowej i w warszawskiej Imce teatralny serial polityczny, z regularnymi comiesięcznymi odsłonami, sądziłem, że będzie on bliższy w formie akcji "Dario Fo przysłał instrukcje", podczas której Demirski we własnej osobie komentował ze sceny różne aktualne sprawy, rozmawiał z widzami albo monologował wspomagany aktorskimi etiudami inscenizowanymi przez Strzępkę. Druga hipoteza: a może duet spróbuje tym razem naśladować w teatrze konstrukcję i dramaturgię serialu "The House of Cards" o brudnych kulisach polityki? A tu nic z tych rzeczy. Demirski i Strzępka po prostu zintensyfikowali formułę własnego teatru: tekstów Demirskiego, napisanych wedle tych samych reguł co do tej pory, będzie po prostu więcej i krócej będziemy na nie czekali.

Jak wiadomo - większość jego sztuk dzieje się albo w tak zwanym roku zerowym, czyli w tej przeszłości, w której zaczęła się teraźniejszość, kiedy pierwszy raz pojawiły się obecne dylematy, sprawy nie do załatwienia i obowiązujące postawy społeczne, albo gdzieś w przyszłości, w czasie spełniającej się Apokalipsy.

W "Kłątwie" przyszłość, czyli Apokalipsa, zaczyna się dziś. Jesienią 2014 roku giną w niewyjaśnionych okolicznościach wszyscy polscy parlamentarzyści z wyjątkiem trzech, umierają także członkowie komisji wyborczej i tak zwane dwójki na listach partyjnych. Konstytucja milczy o takim przypadku: nie można więc przeprowadzić nowych wyborów, nie ma władzy ustawodawczej, wykonawczej ani tak zwanej czwartej władzy.

O premierze cicho, Prezydent chce uciekać do Rumunii, padają gazety i internet, dziennikarze tracą pracę albo są również zabijani. Niech żyje pełna anarchia? Chyba nie o to chodzi... Demirski i Strzępka aranżują stan anarchii nie po to, żeby przyjrzeć się Polakom w czasie bezhołowania, tylko stwarzają grunt pod drugie przyjście Chrystusa.

Michał Korchowiec zbudował na scenie typowy dla teatru Strzępki "śmiećnik znaczący": pokój, a może studio telewizyjne zalane wodą, wszędzie kable, worki z piaskiem, w fotelu zastygł trup spalonego posła. Jak zwykle wariuje czas, a w wodzie w gustownych kaloszach brodzi półnagi Chrystus. I choć na ciele ma rany po Golgocie, Dobromir Dymecki nie gra dobrotliwego Chrystusa z Nowego Testamentu, to raczej odmłodzony Jahwe ze Starego. Zwycięża nie miłością, a siłą pięści, jak komiksowy bohater.

Stosuje opętanie, szantaż, wymuszenia... Jedyłą karą za grzechy jest śmierć. Pamiętajcie - oko za oko... Nie wiadomo, czy to on, bóg zemsty, stoi za kryzysem w państwie i unicestwieniem klasy politycznej, czy tylko wykorzystuje okazję, bo wreszcie zaprowadza w Polsce porządek moralny i własnościowy. To nie jest Jezus od papieża Franciszka, ani nawet od ojca Rydzyka. Prędzej Zbawiciel radykalnej prawicy. I to jest ta nowość w myśleniu Demirskiego i Strzępki: założenie, że rewolucja może przyjść nie z tej strony, co powinna. Wcale nie musi być zaprowadzeniem nowej sprawiedliwości społecznej, a powrotem do tej archaicznej.

Owszem, "Klątwa" chwilami wygląda jak najbardziej doraźny spektakl duetu, pełna jest nazwisk polityków i żartów nieomal kabaretowych, ale to nadal jest teatr błyskotliwy i zaskakujący. Popatrzcie, jak Krzysztof Dracz gra naraz i Prezydenta, i Dziennikarza, jak bawi się założeniem, że jeden patrzy oczami drugiego, że siedzą razem, równocześnie w jednym ciele. Co w takim razie dzieje się, kiedy Prezydent ma romans z żoną Dziennikarza? Dochodzi do zdrady, czy to tylko schizofrenia?

Anna Kłós, która dostała rolę Moniki Olejnik opętanej przez ducha posłanki Pawłowicz, sięga po najlepsze wzory z "Egzorcysty". Co jakiś czas pojawiają się oczywiście śpiewane [na żywo](#) piosenki, jest dużo bieżaniny, pojawiają się lekkie aluzjki do seriali "Walking Dead" i "True Blood". Z najnowszego filmu Jarmuscha przybyła na scenę para żyjących wiecznie wampirów (Klara Bielaw-ka, Paweł Tomaszewski), tylko że w polskich realiach on zajmuje się odzyskiwaniem kamienic w [centrum Warszawy](#), a wampirzyca wróży z kart. Tyle póki co wiemy...

W finale mamy zakładkę do następnego odcinka: w Polsce zaczyna się eksterminacja księży. Zaczęło się - mówi stroskany Jezus i nie wiadomo, czy to dalsza część jego planu, czy może ludzie wzięli sprawy w swoje ręce. Co wygra: całkowita anarchia i starotestamentowy porządek moralny?

Ciąg dalszy nastąpi.

Lukasz Drewniak
Dziennik Polski

Irracjonalność władzy

Polska jesień 2014. Zamiast parlamentarnych wyborów – czas katastrofy. Posłowie giną – jeden za drugim, w groteskowych, absurdalnych okolicznościach, ginie także komisja wyborcza, nawet mniej widowiskowe dwójki na listach wyborczych padają jak muchy. Jednak natura dąży do równowagi, dlatego z bagien, ze stojących wód po ogólnopolskiej powodzi, jak z mistycznego Bayou w delcie Missisipi, wynurzają się wampiry. Ich pierwszą ofiarą pada sfrustrowany lokator, któremu Żyd odebrał kamienicę – lokator za chwilę powróci jako Chrystus mściciel (świetny Dobromir Dymecki) zarażony wiarą w święte prawo własności, ważniejsze niż litość czy inne „homoseksualne wartości”. Jak to u Strzępki i Demirskiego, w „Klątwie” paradoks goni paradoks: dziennikarz śledczy budzi się w ciele prezydenta, a Monikę Olejnik nawiedza na antenie duch świętej pamięci posłanki Pawłowicz. Czwarta władza marzy o szybkim awansie, a liberalizm grzmi wściekłym, każącym głosem.

W najnowszym przedstawieniu duetu reżyserowany chaos – do tej pory zawiadujący głównie ruchem scenicznym – sięga głębiej, dociera poza teatr, chwyta się złowieszczą pryncypiów. Jest rozróbą w dziedzinie natury, socjologii i polityki: tu medialne koncerty sprawują spirytystyczne seanse, wampiry i duchy kształtują opinię publiczną, a wróżba z kart jest równie pomocna, co telewizyjne analizy i statystyki.

Na pierwszy ogień idą właśnie media. Czkwaką odbijają się Smoleńsk i śmierć papieża – rozkosz transmitowania na żywo narodowej katastrofy. „Czy Polska jeszcze istnieje?” – pyta z dziennikarską emfazą Anna Kłós-Kleszczewska, której program transmitowany jest wprost na ekrany zawieszane w smoleńskim lesie. To tam brodząc w potopie, „z domu ojca” powraca

Chrystus w kaloszkach z wychłostanym grzbietem. To swojski Jezus wkurwiony, który jesienną anarchię i wakat u władzy chce wykorzystać, by zostać wreszcie królem Polski. W końcu media już go namaściły, transmitując dziesięć lat temu katolickiego „Big Brothera” z Watykanu i kościołów. A woda, po której człapie – czy to nie jest ten deszcz wymodlony przez posłów w sejmowej kaplicy?

Wszystko to trochę jak z „Mistrza i Małgorzaty”. Tylko że zamiast Szatana w młodym Związku Radzieckim mamy Chrystusa w młodej demokracji. Zamiast kocura z teczką w tramwaju – wampira z mapą Warszawy. Zamiast Mistrza i rękopisu – dziennikarza i jego śledztwo. Warszawa to nie Moskwa – imperium zła, to kraina obciachu. Także siła wyższa, która ją nawiedza, nie ma eschatologicznego planu. Przede wszystkim jest właśnie siłą ulepioną na wzór ludowych wyobrażeń: z zemsty i piekła. Tylko rany na ciele Dymckiego zdradzają jego biblijną tożsamość. Macie taką władzę, na jaką zasłużyliście, taki sąd ostateczny i takiego sędziego.

Siedźcie przed telewizorami – mówi Strzępka – oglądajcie program live o swojej katastrofie. I wiercie, że za tym wszystkim stoi jakaś klątwa, która jak choroba genetyczna skacze z pokolenia na pokolenie. W końcu z fatum nikt nie wygra – ani wy, ani politycy. Klątwy nie da się odwołać w sejmowym głosowaniu. Nie ma w jej sprawie referendum. Klątwa wszystko – historię, władzę i obywateli – zamyka w kamiennym kręgu irracjonalności. Skoro władzę powaliła tajemnicza zaraza, skoro kamienicznik to nieśmiertelny wampir, a boskie prawo własności kreśli ręką natchnionej wróżbiarki tajemnicze znaki na mapie, to niczego zrobić nie możesz.

„Klątwa” to wesola szarża, w której pomysł goni pomysł, choć może zbyt wiele w niej znanych recept i patentów. „Znamy znamy do kwadratu”, chciałoby się zacytować nazwę jednego z sezonów teatralnych w Wałbrzychu. W jego trakcie Strzępka z Demirskim pokazali „Niech żyje wojna!” i „Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej” – spektakle, za które przyznano im Paszport Polityki. Wtedy, a później w „Tęczowej trybunie”, w „O dobru”, ostatnio zaś w „Bitwie Warszawskiej 1920” zawsze ktoś mnie z tyłu w ich teatrze chwycił za kark, a komedia odmierzana była przejmującą miarą. W pierwszym odcinku „Klątwy” tego niestety zabrakło.

Wszystko wskazuje na to, że tylko Chrystus zna kolejne odcinki serialu. „Jeszcze tu będzie wanna leż!” – zapewnia. Trzymam go za słowo.

Paweł Soszyński
dwutygodnik.com

Serial na żywo z końca świata. O „Klątwie, odcinkach z czasu beznadziei” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego

Nie będzie rewolucji – ale Klątwa, której skutki odczuje Polska, nie przejdzie bez echa. Monika Strzępka i Paweł Demirski mierzą się nie tylko z treścią zbliżającej się apokalipsy na ziemiach polskich, lecz także z bardziej nieoczywistą formułą serialu teatralnego, dotąd nieznanego w rodzimym teatrze.

Siadając na krześle teatru IMKA, delektując się twardym tablo zachwalającym starania pewnego dewelopera o przywrócenie czaru dawnej Warszawy, trudno przewidzieć, że za chwilę na scenie rozegra się największa katastrofa w dziejach Polski. Może niepokojący mężczyzna wyłaniający się zza czerwonej kanapy stanowi ten zły omen, gdy najpierw rzuca na wpół fanatyczne, zaprawione antysemicką nienawiścią oskarżenie w stronę „klasy posiadającej”, reprezentowanej przez

pojawiającą się na scenie Młodą Parę arystokratów, a następnie widowiskowo podrzyna sobie gardło. Na szczęście już po chwili słychać pierwsze wybuchy śmiechu: najpierw ze strony samej Młodej Pary, a z czasem do rechotu dołącza się widownia. Napięcie stopniowo opada, można włączyć dynamicznie zmontowaną czołówkę. Ale to dopiero początek.

Najnowsza premiera najgłośniejszego duetu polskiego teatru: Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego to pod wieloma względami doskonale przygotowany kolejny teatralny szok. W odcinku pierwszym pt. „Don't mess with Jesus” teatralnego serialu „Klątwa, odcinki z czasu beznadziei” nie będziemy jednak świadkami tak rewizyjnego ruchu, jakiego próbowali dokonać w swoim niedawnym projekcie „Dario Fo przesłał instrukcje”. Wiele z zabiegów scenicznych, skonstruowania dynamiki dialogów czy sposobu korzystania z płaszczyzn czasowych dramatu mieliśmy już okazję obserwować chociażby w „Niech żyje wojna!”, „W imię Jakuba S.” czy w „Położnicach”. W tym wypadku akcent na to, co charakterystyczne dla nowego dzieła duetu, kładzie się na formule – serial teatralny, pierwszy w Polsce, który ma być odpowiedzią na zwiększające się znaczenie seriali telewizyjnych w przemyśle filmowym – pod względem zarówno komercyjnym, jak i artystycznym. Żeby nie zgubić się w apokaliptycznym zamieszaniu, jakiego przez 2 godziny i 40 minut widz będzie świadkiem, proponuję prześledzić te tropy, które jeszcze przed premierą spektaklu pozostawiają autorzy. A o czym mówią? Między innymi o szukaniu pierwotniejszego języka docelowego dla Polaków, nazywającego świat w momencie jego rozpadu, o Jezusie, jakiego zamierzają nam zafundować, czy wreszcie o swoim zainteresowaniu serialami, z których wypływa cały projekt.

„The World is Changing”

Jaką to apokaliptyczną wizję rysuje „Klątwa”? Wszyscy parlamentarzyści (poza jednym, nieudolnym pośle lewicy) zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Głowa państwa, media i duchowni skonfundowani sytuacją próbują zadawać pytania (często samym sobie), na zmianę miotając się po Polsce, a niektórzy nawet otrzymują nowego lokatora duchowego do swojego ciała. Wampiryczni dziedzice arystokracji odzyskują „miasto na własność”, korzystając z tarota i okultystycznych znaków i zapowiadając „nowy sabat dobrych domów”. Niewidoczny na scenie lud na zmianę raduje się, gniewem kipi, to się trwoży... takie przynajmniej chodzą plotki. No i przyszedł Jezus, dla którego miłość czy miłosierdzie to jakieś homoseksualne wynalazki, a wszystko wskazuje na to, że naprawdę lubi przemoc. Dzieje się. Ale czy to wystarczy, by za Jezusem zawołać „The World is Changing”?

Strzępka i Demirski swoją wizję apokaliptyczności budują z dwóch przeciwstawnych sobie bloków skojarzeń. Czasoprzestrzeń niepokoju zbudowana została z dominującego w scenografii terenu zalanego wodą, ograniczonego prawdziwym wałem z worków z piaskiem – chociaż pozornie proste odwołanie do stałej i cyklicznej katastrofy, jakim są kolejne klęski powodziowe w Polsce, ustawia reakcje skojarzeniowe – świat Klątwy przypomina aktualny stan zagrożenia i składa się ze znanych, powtarzających się już znaków. Nadpalony manekin przywołuje podobne automatyczne konotacje. Drugi blok, niejako w kontrze do poprzedniego, odsyła nas do językowego humoru, bazującego na łatwo rozpoznawalnych zabiegach: korzystaniu ze znanych w naszej kulturze klisz historycznych i społecznych, dobieraniu jako obiektów żartów osób z aktualnego świata politycznego, w wieloznacznych grach językowych przechowujących rejestry z przeciwstawnych porządków – jak choćby niektóre zdania Jezusa, migrujące z języka biblijnego do świata popkultury. Jezusa nie trzeba nakłaniać dwa razy, sam pojedzie do Brukseli i każdego socjaldemokratę ustawi, chociażby miał ich wszystkich wysyłać do piekła. Publiczność reaguje na to wszystko poczuciem grozy i wesołości zarazem – Strzępka i Demirski przyzwyczaili nas do takich odczuć, celując w wywoływanie antagonistycznych i nagłych emocji. Zabieg ten doskonale komponuje i porządkuje

tematykę spektaklu o apokalipsie na ziemiach polskich. Duet pokazuje, jak bardzo każda kolejna katastrofa w Polsce odsłania wspólne pole intuicyjnych skojarzeń, jak bardzo kieruje wspólnotę w świat pozornie irracjonalnych koniunkcji, przekazujących w rzeczywistości konkretne spostrzeżenia o naszej wyobraźni historycznej czy wizji polityki i wspólnoty. Język lęku i absurdu dowcipu spektaklu nie pozostawi żadnego widza obojętnym. Nie byłoby to jednak możliwe bez naprawdę dobrze poprowadzonej gry aktorskiej. Krzysztof Dracz jako Prezydent i jednocześnie Redaktor Naczelny, współdzielący naraz ciało i żonę (którą gra Alona Szostak, dająca w trakcie spektaklu popis wokalnych umiejętności jakby wyjętych z sali operowej); Dobromir Dymecki jako fenomenalny, półnagi i okaleczony Jezus; Klara Bielawka grająca wampiryczną arystokratką układającą tarota, która staje się na chwilę Maryją i zdziwioną katechetką straszącą piekłem; Anna Kłos-Kleszczewska w wyczerpującej fizycznie roli dziennikarki opętanej duchem Pawłowicz; Radomir Rospondek grający przerażonego i komicznie znerwicowanego, jedyne ocalałego posła; w końcu Paweł Tomaszewski jako arystokratyczny dziedzic i kamienicznik, [wykonujący zapadające w pamięć](#) Space Oddity Davida Bowiego – to głównie dzięki nim spektakl wywołuje naprawdę żywe emocje i utrzymuje zainteresowanie widza przez cały czas.

Czy Jezus rozdaje wszystkie karty?

[W jednym z materiałów prasowych](#) Monika Strzępka zastrzegła, że Jezus, który w spektaklu ponownie przychodzi na świat, przyniesie rozczarowanie i zdziwienie. Nie na takiego mesjasza się pisaliśmy! Ale czy nie pisaliśmy innym takiej sprawiedliwości? Ten fanatyczny gniew, ta kipiąca furia towarzysząca każdemu działaniu Jezusa, gdy rzuca innymi bohaterami niewidzialną siłą czy włacza ich dusze do innych ciał, czyni z niego idealnego Zbawiciela. Czyż każdy rozczarowany zepsuciem doczesnego, skomercjalizowanego świata cywilizacji śmierci nie chciałby spuścić na Państwo Ziemskie takiego Sędziego, by wreszcie rozprawić się z Wiecznym Babilonem raz na zawsze? Jezusa nie trzeba nakłaniać dwa razy, sam pojedzie do Brukseli i każdego socjaldemokratę ustawi, chociażby miał ich wszystkich wysyłać do piekła; sam wykrzyknie „Co wyście zrobili z moim Kościołem!”, przesłuchując struchlałą elitę polityczną i medialną, i w końcu, co najważniejsze, zapowie, że na poprawę jest już za późno, czas się skończył. Jego siła nie zna granic, chociaż manifestuje się niekiedy całkiem przyziemnie. W końcu jaki mesjasz zajmuje się przejmowaniem gazet i zwalnianiu redaktora naczelnego? Tylko dzięki ciągłemu balansowaniu między tymi dwiema stronami mesjasza – zanurzoną w świecie konkretów, najbardziej namacalną a manifestującą się nadprzyrodzonymi mocami, które ma do swojej dyspozycji, gdy na zawołanie i na parę chwil wysyła ludzi do piekła, by doświadczyli już w doczesności skali męki wiecznej, czy też podaje wszystkim żyjącym ich daty śmierci za pomocą numeru telefonu, który ma do nich zadzwonić – Jezus jest naprawdę przerażający i, co najważniejsze, naprawdę wszechmocny.

Właśnie dlatego, w tak jednoznacznie sprawczej i niekontrolowanej roli Jezusa, zdumiewa już od samego początku współistniejący obok niej drugi wątek nadprzyrodzony. Rodziły się we mnie obawy, jak to połączenie zostanie rozwiązane. Składa się na nie działalność dziwnej pary arystokratów, którzy cały czas odwołują się do jednego porządku pozwalającego na przewidywanie wydarzeń – tarota. W pewnym momencie odpowiedź na pytanie: „co mówią karty?” stanie się ważniejsza i będzie oferowała pewniejsze wytłumaczenie niż odpowiedź na analogiczne pytanie: „co mówią fakty?”. Co znamienne, wiedźma-arystokratka stawiająca tarota przyznaje, że tylko w wypadku rewolucji francuskiej i rewolucji bolszewickiej karty nie umiały dać satysfakcjonującej odpowiedzi. To wrażenie dziwnej, okultystycznej mocy, dającej siłę do działania w celu odzyskiwania swojej własności, potęguje osobliwy „sabat dobrych domów” i układająca się w

niespotykany klucz-znak linia łącząca nieruchomości odzyskiwane przez kamienicznika. Inni bohaterowie sami również zaczynają szukać wiedzy w tej irracjonalnej sile.

Dopiero zderzenie tych dwóch nadprzyrodzonych porządków, mesjańskiego i okultystycznego, rodzi podstawowe pytania. Jezus bowiem zaznacza, że wierna mu pozostaje jedynie arystokratyczna para, oni tylko zachowali dla niego wiarę. Zadziwiające, nawet jeśli odwołać się do wspólnych ech językowych, którymi posługują się Jezus i dziedzic („miasto na własność” i „moim kościołem”, który już brzmi jak „kościół – moją własnością”), że wybór mesjasza pada na wiedźmę-wróżkę i kamienicznika-wampira. Choć może właśnie Paweł Demirski, odwołując się do konotacji rozdzielonych porządków i ich języków, znów buduje unię wiary „w starą krew”, w boży pokój fundowany przez arystokrację i dziwne, tajemne praktyki zmierzające do tego, by znowu urządzić światu feudalną „ochronkę”. W końcu w Jezusie sporo z czarownika, skoro rozporządza duszami innych postaci, choćby Redaktora czy posłanki Pawłowicz, i wciela je wedle swojej kapryśnej woli, a następnie... tańczy electro buggy.

Jednak to połączenie nadal rodzi więcej niepewności. W końcu ostatnie wydarzenie pierwszego odcinka, swoisty cliffhanger, to masowy mord na księżach, na który Jezus już wcale nie tak sprawczo odpowiada „A więc zaczęło się”. To za mało, by zacząć podważać dotychczasowy porządek, oparty na konfrontacji zagubionego i pozbawionego sensu świata elit i jednoznacznej, niszycielskiej potęgi mesjasza. Jednak już wcześniej spektakl podsuwa pewne ślepe plamki – tarot nie obejmuje rewolucji, lud funkcjonuje tylko w kontekście plotek i pogłosek, a nad jego przemocą nikt nie ma kontroli, nawet Jezus. W takim kontekście pytanie: „czy Mesjasz zstąpił na ziemię, by dokonać apokalipsy?” trzeba skonfrontować z innym pytaniem: „czy wobec takiego Zbawiciela może zaistnieć konkurencyjna siła?”. Co stanie się ze światem i ludźmi w czasie niepewności i beznadziei powtórnego przyjścia Jezusa na świat? Pierwszy odcinek nie da żadnej satysfakcjonującej odpowiedzi na oba pytania, ale do tego najpewniej może posłużyć całość serialu. Tyle że właśnie „serialowość” najnowszego dzieła Strzępki i Demirskiego stanowi najbardziej problematyczny element „Klątwy”.

Klątwa ambitnego serialu

Formalne zabiegi, mające na celu sprzęgnięcie serialu z dziełem teatralnym, są jasno widoczne i na pierwszy rzut oka się sprawdzają. Telewizyjna czołówka i pierwsza scena, z krótkimi i dynamicznymi dialogami wprowadzającymi większość bohaterów, zakończona dramatyczną opowieścią o pierwszej wielkiej katastrofie, upodabnia rozpoczęcie spektaklu do „Pilota” – pierwszego odcinka serii, który ma stanowić jednocześnie przedstawienie postaci, intrygi, zarys dramaturgii, charakteru serialu, wreszcie powinien zachęcić widzów (i sponsorów) do pozostania przy serii. Dalej analogiczną rolę upodobnienia formalnego do serialu spełniają przejścia między aktami za pomocą na żywo wykonywanych piosenek i połączonych z nimi ściemnieniami, a także napisy końcowe.

Moim zdaniem to stanowczo za mało na osiągnięcie skutecznego efektu serialowości w teatrze. Co więcej, pewne mechanizmy, tak niezbędne dla serialowego sukcesu, w najnowszym spektaklu Strzępki i Demirskiego nie działają tak, jak powinny. Niestety, nie buduje się napięcia, jakie powinno istnieć między postaciami i tak samo – między ich losem a zainteresowaniem widzów. Postacie „Klątwy” zostają w większym stopniu podporządkowane logice języka dramatu, który wybija się na pierwszy plan – a ciągle wypowiedanie jednej, choć niezwykle ciekawej gry językowej, utrudnia jednak zbudowanie indywidualizmu i pewnej fabularnej odrębności bohaterów. Po prostu nie można przejść się losem bezimiennych postaci, miotanych na zmianę to językiem, który muszą wykrzyzczyć do siebie nawzajem i do widzów, to nadprzyrodzonymi siłami fabuły. Nie dynamiczne decyzje bohaterów kształtują kolejne wypadki, nie pragnienia zawarte w relacjach z

innymi postaciami kierują dialogami. Pierwszy odcinek „Klątwy” rysuje naprawdę ciekawe uniwersum, które może pomieścić bez problemu dłuższą narrację, podtrzymując zaciekawienie publiczności. Jednak sposób rozpisania postaci i podporządkowania ich dramatowi budzi obawy, czy faktycznie uda się stworzyć tak charakterystyczne dla serialu oczekiwanie widza i wręcz emocjonalne przywiązanie do konkretnych bohaterów.

Jest to dla mnie kluczowe pytanie. Pod wieloma względami to, co w „Klątwie” jest podobne do już znanej twórczości duetu, bywało skądinąd ciekawiej realizowane: korzystanie z języka składającego się z rozbitych stref wyobrażeniowych polskiej kultury i historii lepiej realizowała chociażby „Niech żyje wojna!”; radykalizm wizji wspólnoty (i jej problemów), który dawał widzowi tak dużo skrajnych i niesamowitych emocji, widzieliśmy w „W imię Jakuba S.” – zapewne można, niestety, jeszcze wymieniać dalej. Stąd moja ciekawość przed premierą skupiała się na serialowości, choć może bez fanatycznego śledzenia, na ile rozpostarty w fotelu Prezydent przypomina Franka Underwooda z „House of Cards”, a opętania wskazują na podobieństwo do „American Horror Story”. Sposób, w jaki Monika Strzępka i Paweł Demirski poprowadzili pierwszy odcinek z czasów beznadziei, nie wystarczy jednak, by zbudować właśnie to charakterystyczne oczekiwanie na kolejny odcinek, ten niepokój zmuszający do oglądania całej serii jednego wieczoru i przywiązanie widza do postaci. Jeśli z jakiegoś powodu czuję niedosyt, może wręcz rozczarowanie, to właśnie dlatego, że pierwszy odcinek w zbyt małym stopniu wskazuje na całą serię: zabrakło serialowego napięcia między bohaterami i ich pragnieniami a machiną fabuły i dynamiką przedstawianego świata. W teatrze IMKA można było zobaczyć naprawdę świetnie zagrany spektakl, w którym pewne kluczowe pomysły już gdzieś widzieliśmy, którego atmosfera między absurdalnym humorem dialogów a przejmującymi grozą znakami z łatwością udziela się widzowi, niestety nie stworzy nowej jakości w twórczości Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego. Pozostałe ważne pytania: o elementy związane z jakością serialu i jego oddziaływaniem na całe dzieło, o to, jaki cel krytyczny stawia w swojej apokaliptyczności „Klątwa”, a nawet jak bardzo dawne wyróżniki charakteryzujące twórczość najbardziej bezkompromisowego duetu polskiego teatru muszą zostać zweryfikowane – będzie można zadać dopiero po premierze ostatniego, czwartego odcinka tej serii.

Czy język i formuła sceniczna, jakimi posługują się Strzępka i Demirski, pozwalają na serialową rewoltę w polskim teatrze? Czy Jezus jest prawdziwym Mesjaszem? Czy lud pokusi się jednak o rewolucję? I w końcu: czy Krystyna Pawłowicz odzyska ciało?

Tych i innych pytań ciąg dalszy nastąpi.

Piotr Drygas

Kultura Liberalna

A jednak jest piekło i ono goreje

paruzja

Literatura apokaliptyczna, stanowiąca zapis widzenia czy odkrycia (apokalypsis) rzeczy ostatecznych, ma długą i bogatą tradycję, wpisującą się w religie judaizmu i chrześcijaństwa.(1)

Powszechnie znane proroctwo świętego Jana obrazuje zagładę świata, powstanie nowego Jeruzalem oraz sąd ostateczny, który stał się inspiracją dla najnowszego przedstawienia Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego. Cytowany przez nich fragment Apokalipsy (19,17-18) „Pójdźcie, zgromadźcie się na wielką ucztę Boga, aby pożreć trupy królów, trupy wodzów i trupy mocarzy”(2) jest wezwaniem ptaków przez Anioła, aby najadły się do syta martwymi ciałami. Mimo iż w spektaklu nie pojawiają się Aniołowie, będący filarami niemal wszystkich objawień, jego osią jest powtórne przyjście Jezusa oraz „czas ostateczny”, rozumiany tutaj jako plaga śmierci spadająca na czterystu pięćdziesięciu posłów na sejm RP. Posłowie giną jednej nocy w różnych, często trywialnych okolicznościach, o czym informują nas, płynące z zawieszonych nad sceną telewizorów, wiadomości oraz obsesyjnie przywiązana do swojego iPhona, spacerująca nerwowo po scenie dziennikarka (Anna Kłós-Kleszczewska). Śmierć posłów wywołuje radość społeczeństwa, które nie chce przyjąć roli żałobnej. Stopniowo popada ono w dezintegrację i chaos sprzyjający ruchom anarchistycznym. Wreszcie każdy ma szansę zająć się swoimi sprawami – jedni dążą do władzy, inni chcą zarobić, jeszcze inni wykorzystać sytuację na chwilę własnej sławy. W natłoku katastroficznych zdarzeń pojawia się wysoki mężczyzna o „aryjskiej urodzie”, z zakrwawionymi plecami i stygmatami na dłoniach. Jest stanowczy i surowy, bywa agresywny i bezwzględny dla pozostałych. Czasem cytuje Ewangelie, ale tylko po to, aby pogrzyżyć swoje ofiary. Jezus (Dobromir Dymecki) bowiem jest nieprzejednanym zwolennikiem prostych rozwiązań, w których karą za grzech jest śmierć. Przynależy on zarówno do załamującego się porządku politycznego, jak i kryzysu wewnątrz kościoła katolickiego, który w dobie Soboru Watykańskiego II zrodził Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X. Ma ono na celu postulować niezmienność Magisterium Kościoła poprzez formowanie „gorliwych i wielkodusznych kapłanów (...) celem uniknięcia błędów współczesnych, szczególnie liberalizmu i jego następstw” (3). Jezus zdaje się być reprezentantem najgorliwszych lefebrystów, usiłuje nie tylko przywrócić mszę trydencką, ale także ponownie zespolic koronę i tiarę. Nie znosi przy tym sprzeciwów i nie chodzi na kompromisy (4). Przyszedł bowiem najwyższy czas dokonać żniwa, nadeszła godzina sądu.

polityka

Jezus jest także konferansjerem, który otwiera spektakl. Ma wtedy na sobie czarny garnitur i potyka się nieudolnie, lądując w ogromnej kałuży wody. Prezentuje stojącą w głębi sceny młodą parę (Klára Bielawka i Paweł Tomaszewski), wygłaszając nienawistny monolog o Żydach i złowróżbnych znakach. Monolog zamyka podejrzeniem siebie gardła, na co ślubna para reaguje niczym biblijne kruki wzywane przez Anioła. Spijają z szyi Jezusa-konferansjera krew, tworząc metaforę komunii oraz zapowiedź ich wampirycznych żądań kamienic. Są oni upostaciowaniem przedwojennego sloganu „wasze ulice, nasze kamienice” (5), stają się krwiopicjami, walczącymi za wszelką cenę o możliwość rozłożenia leżaków przed domem w środku miasta. Młoda kobieta czy też panna młoda, zamienia wkrótce swoją suknię ślubną na strój podróżniczki, który najlepiej nadaje się do poszukiwań „dobrych domów”. Natrętnie patrzy w karty, dzięki którym odczytuje przyszłość, zaś trzymana przez pana młodego mapa z zaznaczonymi, odzyskanymi już kamienicami, odsłania dziwne znaki. Wróżbitka jest zarówno żoną, jak i matką swojego partnera, w pewnym momencie wkroczy na scenę u boku Jezusa jako Matka Boska, okutana w ciężki, ciemnozielony koc. Będzie wtedy chciała przygarnąć do siebie wszystkich zbłąkanych polityków i dziennikarzy, choć ich naiwna fraza „mam w głowie słodkie sny” zostanie przez nią i Jezusa skompromitowana. Oniryczne przenikanie się ról i postaci, będące ważnym komponentem sztuk duetu Strzępka-Demirski, jest w tym spektaklu sygnałem zacierania się granic pomiędzy dotychczasowym porządkiem politycznym, a rodzącym się chaosem oraz między realnością, a fantasmagorią marzeń i wróżebnych znaków. Kulminacją zatarcia owych granic jest wstąpienie ducha posłanki Pawłowicz w ciało nierozgarniętej dziennikarki, która w stanie rozczłonkowania

psychicznego dodatkowo przeprowadza z Pawłowicz wywiad. Efektywna scena „opętania” niesie ogromną dawkę komizmu, jednocześnie jednak rodzi niesmak z powodu drwiących, personalnych odniesień. Całe przedstawienie spięte jest klamrą kabaretu, rozpadając się na serię gagów i skeczy. Dobrym tego przykładem może być próba ucieczki prezydenta do sąsiadującej (sic!) z Polską Rumunii, czy też ukrywanie się polityków pod przebraniem duchownych. Prezydent (Krzysztof Dracz) jest jednocześnie dziennikarzem, a uwięzione w jednym ciele postaci łączy młoda, atrakcyjna kobieta. Jest ona zarówno żoną dziennikarza, jak i kochanką prezydenta (Alona Szostak), co pozwala na wiele sytuacyjnych żartów. To one są budulcem całego spektaklu, w którym politycy stanowią jedynie szablonowe reprezentacje miałości i zepsucia współczesnego świata. Mimo bowiem realnych odniesień do polskiego parlamentaryzmu, nie sposób dostrzec jego partykularnych problemów. Świat po katastrofie jest światem beznadziei, w którym na miejsce obumarłych idei, nie rodzą się nowe. Stąd Jezus nie przychodzi jako rewolucjonista, do czego predestynuje go radykalność i bezkompromisowość, ale rozsierdzony żniwiarz, któremu kompletnie nie obrodziły plony.

anatema

Spektakl zamyka przestroga Jezusa, że klątwą objęci zostaną nie tylko politycy, ale także duchowni. Jego karzące działania mają na celu nie tyle wyłączyć grzeszników z życia kościoła, co na zawsze przeznaczyć ich piekielnym cierpieniom. Klątwa bowiem, która stanowi nieodłączny element tradycji chrześcijańskiej i judaistycznej, jest formą wykluczenia ze społeczeństwa, zakazem przynależności do wspólnoty, a czasem nawet śmiercią. Potrafi obejmować nie tylko pojedynczego człowieka, ale także całe narody czy pokolenia. Katastroficzny obraz społeczeństwa po stracie parlamentu, ukazany w spektaklu „Klątwa – odcinki z czasu beznadziei”, jest przesycony rodzącym się magicznym myśleniem. Owo magiczne myślenie oparte jest na „opozycji dobra i zła, życia i śmierci, upadku i wyzwolenia”⁽⁶⁾, obejmuje zależność klątwy i jej „lustrzanego odbicia”, czyli błogosławieństwa. W scenicznym świecie jednak dominuje nastrój upadku, a zepsucie i plugastwo rozlewają się na wszystkich bohaterów. Wykrzywione zwierciadło polityków i duchownych nie obejmuje pozytywnych bohaterów, nie ukazuje szarości i półtonów, jedynie czerń. Sama klątwa zresztą, która unosi się nad każdym, nie jest problematyzowana. Dziennikarze operują jedynie liczbami zmarłych bez podania przyczyn i okoliczności zgonów, zdaje się, że tylko Jezus ma moc magicznego mówienia-działania i właśnie dlatego staje się najatrakcyjniejszą postacią na scenie. To on jest cichym reżyserem poszczególnych zdarzeń i to on poprowadzi widzów i bohaterów do kolejnego odcinka. Mimo niezwykle mocnej pozycji w sztuce, nie potrafi zaostrzyć apetytu na dalsze, serialowe wydarzenia. Fabule bowiem pierwszego odcinka brakuje zaskoczeń, zwrotów i kulminacji. Niezwykle kusząca propozycja teatralnego serialu daje przede wszystkim możliwość rozbudowanej i wielowątkowej opowieści, która drobiazgowo i detalicznie rozwija wątki, porzuca dramaturgiczne skrót i kondensacje. Tymczasem pierwszy odcinek bazował niemal wyłącznie na skrótach oraz zarysach akcji i postaci. Nie pozwolił wniknąć w meandry klątwy, czy też meandry poczynań poszczególnych bohaterów. Political fiction jest tutaj jedynie smutną diagnozą beznadziei bez propozycji alternatywnej, opozycyjnej rzeczywistości oraz bez zaskakującego i niebanalnego komentarza do polskiej polityki.

1. Obok, włączonej do kanonu nowotestamentowego, Apokalipsy św. Jana istniały także: Apokalipsa św. Piotra (znana nam za sprawą Kanonu Muratoriego), Apokalipsa Adama i Ewy (prawdopodobnie autorstwa Epifanusa), Apokalipsa Eliasza (streszczana przez Pseudo-Atanazego) oraz inne.
2. Cyt. za: „Klątwa” Strzępki i Demirskiego. Polityczny serial. <http://wyborcza.pl/1,75475,15623789.html>

3. <http://pl.wikipedia.org/wiki/BractwoKap%C5%82a%C5%84skie%C5%9Awi%C4%99tegoPiusaX>.
4. Postępowanie Jezusa doskonale ilustruje tytuł pierwszego serialowego odcinka Strzępki i Demirskiego, zatytułowanego „Don't mess with Jesus” (Nie zadzieraj z Jezusem).
5. Określenie to często łączy się z okresem migracji tzw. „litwaków” (Żydów zamieszkujących Litwę i Białoruś) na przełomie XIX/XX wieku do Królestwa Polskiego oraz ich stopniowej monopolizacji handlu. Slogan obrazuje także napięcia w stosunkach polsko-żydowskich przedwojennej Polski.
6. A. Engelking, Kłątwa. Rzecz o ludowej magii słowa, Warszawa 2010.

Justyna Biernat

Teatr dla Was